



# ANANKE



MUZEUM MIEJSKIE  
Galeria im. Sleńdzińskich

# ANANKE

nr 1/7/96

## DRODZY CZYTELNICY

W szkicowniku Wincentego Sleńdzińskiego z lat 1865 - 1869 sąsiadują obok siebie rysunki i twórczość literacka. Właśnie z niego skorzystalismy przygotowując oddawany Państwu numer „Ananke”. Stąd zaczerpnęliśmy wiersze, opis podróży z Kniaginina do Charkowa, nowego miejsca zesłania Sleńdzińskiego, a także szkice będące pierwowzorem niejednego obrazu.

W papierach archiwalnych znalazłem interesujące przepisy rodzinne dotyczące przenoszenia kopersztychów i rycin, przyrządzania chińskiego lakferu, kitu do porcelany, złota malarskiego, a nawet samego lakierowania. Przepisy owe zostały zapisane ręką Wincentego Sleńdzińskiego, nie były jednak wynalazkiem samego Wincentego. Być może otrzymał je od Aleksandra, swego ojca. Prawdopodobnie przepisów było więcej, bo przed pierwszym z nich dotyczącym kopersztychów, są jeszcze słowa „daje się politura -”, jakby kończące jakiś inny przepis. Tym swoistym receptom nadałem wspólny tytuł „Przepisy rodzinne przydatne malarzom zanotowane ręką Wincentego Sleńdzińskiego”. Nie wyłączyłem z nich recepty na przyrządzanie lekarstwa dla bydła, choć to nie było i nie może być przydatne malarzom.

Zastanawiałem się na ile mogą być interesujące sny Wincentego Sleńdzińskiego zanotowane podczas pobytu artysty w Charkowie. Doszedłem do wniosku, że stnowią świadectwo bujnej wyobraźni, a także warsztatu literackiego tego malarza.

Z dokumentów zamieszczamy „Postanowienie Namiestnika w Królestwie o zniesieniu klasztorów grecko-unickich” i „Postanowienie w sprawie likwidacji Stowarzyszenia Felicjanek czyli Sióstr Ś-go Feliksa”, oba dokumenty opublikowane były w „Dzienniku Praw”, t. 63, Dziennik nr 194 /Drukarnia S. Orgelbranda, Warszawa 1867r./. Dokumenty te winny zainteresować fachowców. Ważne jest to szczególnie dziś, kiedy niektóre środowiska próbują jeżeli nie zbagatelizować, to przynajmniej zmniejszyć problem rusyfikacji, zatrzeć jego znaczenie i rolę jaką miał odgrywać w świadomości narodu. Moim tutaj zadaniem jest przypomnienie dokumentu.

Przyjemnej lektury.

Eugeniusz Szulborski



Ze szkicownika Wincentego Śleńdzińskiego,  
*Artysta z rodzeństwem, 1863*

Wincenty Sleńdziński  
Nadzieje, słodczye, Sny moje Zwodnicze!  
1865 r. w Kiagininie od 9 lutego

W CHWILI ZWĄTPIENIA ...

Dni swobody, dni marzenia,  
Dni miłości, dni natchnienia!  
Przeszł z laty młodzieńczemi ...  
Dzisiaj naga rzeczywistość -  
Dzisiaj, cisza dla mnie przyszłość  
Zwarta deski grobowemi ...  
Więc dni czynu, dni marzenia,  
Dni błogości, zachwycenia,  
Nigdyż dla mnie nie zabłyszna?! ...  
Masz być marny popęd sławy,  
Czyż tak kruche żagle nawy,  
Lada burzą, na wiatr pryszna?! -  
Wiary silnej, nie zwątpienia  
Dziś mi trzeba; me cierpienia,  
zahartują w przyszłe życie -  
Wolą twardą skruszę ciernie  
W swych zamiarach wytrwam wiernie.  
Nie przestraszy wiatrów wycie !! ...  
Wierząc święcie w trwałość nawy  
Zawinę do portu sławy!

1865 r. 25 stycznia  
(w) Kiagininie

\*\*\*

O ułudzeń wieczna żądzo  
Czemu wiecznie mną tak miotasz!  
Gdy zstępuje z twego łona  
Cemuż marzeń twych zasłona  
Mnie od świata nie przegrodzona ?!! ...

\*\*\*

Po bezdennej morza toni  
Lubię myślać się kołysać;  
I jak pszczołka z kwiatów woni;  
Karm zgadywać i wysysać  
Słodkie sercu przypomnienia!

A gdy słodycz w gorycz zmienia  
I przed oczy stawia mary,  
Kiedy myślą już znużoną  
Dolatuję krańców wiary,  
Widząc przestrzeń wymarzoną,  
Chcę się przejrzeć w źródle prawdy

\*\*\*

Gdy myślą sięgam lat minionych,  
Gdy wspomnę młodość uroczą ...  
Tak mi się jakoś myśli mroczą,  
Tak mi jest tęskno po latach straconych!

Gdy ukołysan bywałem marzeniem,  
Gdy wszystko śmiałą młodością,  
Co dla mnie kiedyś było świętością  
Dzisiaj jest tylko złudzeniem.

Wykołysane dziecię marzeniem  
- Lękam objawiać przed światem -  
Nie jestem teraz ojcem lecz katem!  
Niszczę je w myśli przed urodzeniem.

Bo, ileż razy byłem zawiedziony  
Chcąc swym marzeniom dogodzić -  
I za to tylko, by życie osłodzić -  
Bywałem srodze zwalczony -

Milczeniem leczę dotkliwe rany.  
Obojętnością tamuję krew w żyłach.  
Zadanie ciężkie, upadam w siłach  
Zewsząd szyderstwem owiany.

\* \* \*

Często pierś się nadyma od przeróżnych wrażeń,  
Kiedy w samotności tworzę ideały,  
Wtedy myśl znękana od wpływu swych marzeń,  
Mimowolnie wpada w letarg ocieęzały.

A gdy z myśli zrodzi wymarzone dziecko,  
Przed światem odkryje swój charakter, postać,  
Gdy je wezmą w klamry, jak zwykle na świecie,  
Życzyłoby lepiej niezrodzonym zostać.

Lecz myśl niezrażona nowe dziecko pieści,  
Stara się podsłuchać analizy tworu,  
I z rozlicznych sądzeń, chirurgicznej treści,  
Wydobywa jakość śliskiego poloru.

Ona lepiej zbada wady swego dziecka,  
Lecz które wytykać jest mędrków udziałem;  
Ona tworzy z płaczem, boleścią jak matka,  
Więc czasem i wady, dla niej ideałem.

Lecz niech ustępuje i miłość matczyna,  
Kiedy dziecko zboczy z przeznaczonej drogi  
I straciwszy siłę koszlawiec zaczyna,  
Niech opiekę bierze wtedy rozum srogi.

On tylko wynajdzie jak zaradzić złemu.  
On nie wstanie chłodnym analizy nożem  
Zadać ciężkich ciosów utworowi swemu;  
Lecz miłością Ojca i natchnieniem Bożem!





Wincenty Śleńdziński, *Pielgrzym*, 1854

## PRZEPISY RODZINNE PRZYDATNE MALARZOM

zannotowane ręką Wincentego Sleńdzińskiego  
w opracowaniu Eugeniusza Szulborskiego.

### INNY SPOSÓB PRZENIESIENIA KOPERSZTYCHU

Nayprzód: Drzewo powinno być dobrze y równo wyheblowane i pumexem wyszlifowane, tak aby żadnych rysow na onym nie było. Gdy to już będziesz miał gotowe, - wziąć kleju rybiego i na drobne kawałeczki pokrajawszy namoczyć w prostey wódce, aby przez 24 godziny mokło. Pozniey przystawić w garnuszczyku do ognia niech się zagotuje, a gdy się już rozpuści precedzić przez płótno do szklanego naczynia y chować w zimnie. Tenże maiać już przygotowanem, ogrzać trochę drzewo przygotowane do tego y pomieniony klej przy ogniu rozpuścić, y pędzelkiem równo po drzewie rozprowadziwszy natychmiast przyłożyć peizażynę, przyciskając go równo ze wszystkich stron, aby równo przylgło, y dać wyschnąć. Pozniej pumexem z wolna ścierać, gdy się peizażyna pocznie pokazywać przez papier szlifowany - w tę porę olejem posmarować - znowu gdzie się okaże papier ścierać pumexem. Zawsze jednakże płótnem ścierać. Na koniec politurę dać.

### LAKIER CHIŃSKI NA DRZEWO

Trzeba mieć butelkę ze szkła białego dobrze wyczyszczoną i suchą; do tey nalej spirytusu winnego, zostawując trzecią część butelki prózną. Weź gummi lacci dwie uncye i tyleż Sandaraca, utrzyj to na subtelnym proszek i wsyp do butelki, którą zatkawszy dobrze, trzymaj na słońcu, albo w ciepłym miernym póty, aż się gummy pomienione rozpuszczą tak, że na dnie sedymentu nie będzie; potem postawisz butelkę w cieniu, albo na miejscu chłodniejszym; jak się zacznie ten likwor rozdzielać, to jest na wierzchu będzie jaśniejszy i przezroczystszy, a na dnie ciemniejszy, wtenczas do drugiej butelki; takóž dobrze wysuszoney, trzeba zlać powoli z wierzchu jaśniejszy likwor, którego będziesz używać do lakierowania. Na pozostały ciemniejszy likwor znowu się nalewa spirytus winny i tak się z nim postępuje, jako pierwey. Po zlanu będziesz miał z tego podlejszy lakier. Trzeba ten lakier konserwować zawsze w dobrze zatkaney butelce.

Używa się tego lakieru tym sposobem: trzeba na słońcu ugrzać razem drzewo, które ma bydź lakierowane, a sam lakier z butelką, ażeby równe było ciepło w lakierze i na drzewie. Potem z lekka umoczywszy pędzel, naprowadzać drzewo lekko, ażeby wszędzie jednostaynie się rozchodził. W suszeniu trzeba obserwować, ażeby nie nadto tęgie było ciepło.

Takowy lakier daje się na drzewie samym, przez co drzewo nabiera ciemniejszego koloru, a będzie się lśnić, jako szkło szlifowane. Można też dawać na drzewie malowanym jaką farbą, która potrzeba, żeby pierwej dobrze wyschła, przeto kolor ten sam zostanie, ale nabierze większego poloru.

#### LAKIER NAYŁACNIEYSZY DO ZROBIENIA

Weź grysphanu, utrzyj go z octem winnym, zebraną masę obłóż ciastem, z którego chleb się robi, i włóż do pieca, ażeby się upiekło tak, jak chleb się piecze. Po wyjęciu z pieca, trzeba dobyć tą masę grysphanu, włożyć do wódki, jak się to rozpuści i ukłaruje, będziesz mieć z tego bardzo dobry lakier, którym naprowadziwszy, co się podoba, jak zaschnie, trzeba po wierzchu naprowadzić z lekka rozpuszczoną gumą arabską.

#### KIT DO PORCELANY I SZKŁA

Weź niegaszonego wapna, utrzyj go na proszek, zrób na masę z serwatką lub z świeżym serem i białkiem jajecznym. Tą mieszaniną czem prędzej kituj, bo w krótkim czasie stwardnieje - albo weź 4 części gleyty, część jedną niegaszonego wapna i tyle szkła, utłucz z osobna każdą materią na miałki proszek, zmieszaj wraz z starym pokostem oleynym zrób z tego ciasto, którym kituj naczynie. Ten kit jest mocny i trwały w wodzie,

#### SPOSÓB LAKIEROWANIA NA DRZEWIE

Weź pół funta gummy arabskiej, ćwierć funta Sandaraka: dwie uncje gummi-gutta, ćwierć funta gummi laci i kwartę spirytusu winnego. Włóż to wszystko do garczka polewanego i nalej spirytusem winnym. Jak gummy rozmokną, mieszaj w garczku drewnianym póty, aż się wszystko rozpuści i zmiesza się z spirytusem, potem postawisz garczek na wolnym ogniu, ażeby się z lekka zagotował. Po zagotowaniu, potrzeba trzymać na wolnym ogniu, ażeby gotowało się przez dziesięć minut. Odstawiwszy od ognia trzeba likwor przecedzić. Tym likworem póki ciepły jest naprowadza się drzewo, które powinno być pierwej dobrze obmyte i wysuszone. Inaczej by się lakier nie przyjął.

Po naprowadzeniu, trzeba dać czasu, ażeby lakier wysechł. Jak dobrze zaschnie, można z lekka dobrze natrzeć i suknem wytrzeć, co dodaje większego poloru.

Chcąc żeby lakier był lepszy i żeby obeść się od natarcia woskiem, potrzeba kilka razy lakierem naprowadzić.

Chcąc zaś lakier dać kolorowy, to się ostrzega, żeby w użyciu wysokich kolorów nie mieszać gummi gutty robiąc lakier.

## ZŁOTO MALARSKIE W PROSZKU

Weź upodobaną ilość listeczków złotych, utrzyj je z słabym klejkiem arabskiej gumy i cukru albo z miodem białym, potem dodaj do tego nieustannie mieszając tyle czystej wody, ile potrzeba do rozrzedzenia kleistości, iżby utarte złoto opaść mogło. Wtedy zostaw naczynie w spokoyności i czekaj aż wszystkie proszki złota na dnie naczynia osiadzie. Ten proszek odłącz potem od klejstej wody przez ostrożne zlanie i umieszany z trochę gumowej wody, włoż na tacki słoniowej kości lub do żabich skrzelch -

Toż samo z srebrem.

## SPOSÓB PRZENIESIENIA RYCINY NA DRZEWO

Na deszczułce lub innej stolarskiej robocie, dobrze wypolituowanej lub polakierowanej i zupełnie wysuszonej, kładzie się rycinę dobrą stroną na drzewo, którą mocno palcami przytrzymawszy ażeby się nie ruszało, napuszcza się obficie za pomocą pędzla selcadserem czyli kwasem saletrzanym /: Oleidum nitry:/, a gdy papier dobrze namięknie, przykładą się kilka arkuszami wodnego drukowego papieru i w mocnej prasie przez kilka godzin zostawić. Gdy rycina wyschnie a tem samem do drzewa przyłgnie, macza się palec w czystej wodzie i ściera się lekko, i naywolniej. Papier biały, który wałkuje się, powoli odstawać będzie, aż nareście sama wzorna rycina na drzewie pozostanie.

## LEKARSTWO DLA BYDŁA

Na każdą sztukę - główkę czostku pokroić. Soli słuć na sztuk 50 - garniec - dzieckiu półtore kwarty. Słoniny na każdą sztukę, jak dwa palce, saletry funt jeden. Wszystko to zmieszać w cierlicy i każdej sztuce masy na wyż wyraźney słoniny dawać -



Ze szkicownika Wincentego Sleńdzińskiego,  
*Zapusty w Kniagininie*, 10 lutego 1865

## JAZDA

1867 r. 10 Marca mieszkałem jeszcze w Kniagininie i kończyłem swoje malunki do loteryi. Był bardzo pogodny ranek, więc szczerze się zająłem malowaniem gdy tymczasem wchodzi Pokrowski, pisarz Sprawnika i oznajmia mnie, iż jestem uwolniony i mam prawo jechać do Charkowa. Zdziwienie i radość mnie ogarnęły, w głowie się przewróciło, myśli me zaczęły lecieć w przyszłość, a więc z tego powodu posłałem po pół sztofa i ugościłem pisarza za tak dobra nowinę tak, że poszedł, jak to mówią, «bez zadnich nóg».

Nowy zwrot w moich okolicznościach dał mi dużo do myślenia. uczułem się niby wolnym, lecz bez środków puszczenia się w tak daleką drogę, więc z klinem w głowie już nie mogłem się niczem zająć, a poszedłem oznajmić to wszystkim współwynagrom moją radość. Po całodziennej przechadzce i naradach stanęło na tem, że muszę czekać sprzyjającej pory; raz co do dostania grosza, powtóre z racji okropnej i niepamiętnej powodzi, a zatem z bólem serca i gorączką w głowie spać się położyłem myśląc co jutro pokaże.

Jutro było jak zwykle, więc pokończyłem swoje roboty i zacząłem na seryio chodzić koło loteryi moich obrazków widząc tylko jedyny środek wybrania się przez nie z Kniaginina.

Loteryja była ogólnie przyjęta przez moich znajomych i tem się głównie zajął Marszałek Astafijew i dr Korzeniewski - już bilety zaczęły się sprzedawać dość prędko, lecz Astafijew wpadł na zbawienniejszy środek, umyślił zakupić moje prace i wypłacić mi od razu 300 rs., a wypuścić w 1000 rs. na loteryję też same siedem obrazków, w celu bardzo użytecznym, bo ofiarując na użytek szpitala w Kniagininie. Ja z radością przyjąłem te propozycyje i już miałem grosze do drogi lecz na usilne zastrzeżenia moich znajomych, że wiele spotkałoby mnie przeciwności z racyi powodzi, postanowiłem czekać, aż póki się Wołga nie oczysci z lodu i jechać do Niżnego na parochodzie.

A więc popakowawszy rzeczy bo już pędzła do rąk wzięść nie było najmniejszej chęci, postanowiłem za cały czas nudy trochę się orzeźwić i blisko miesiąc, z racyi pożegnania, ciągle musiałem być pod hełmem; były to rzeczywiście chwile jakiegoś oczarowania, z nową nadzieją w piersiach po latach nudy, miałem znowu wracać w świat więcej ożywiony od małej powiatówki; cieszył mnie klimat południowy, którym miałem oddychać i wiele wiele przeróżnych cisnęło się wrażeń, które sobie tworzyłem w gorączkowej wyobraźni. Na koniec nastąpiły Święta Wielkanocne, święta upijania się z powodu Zmartwychwstania Chrystusa! Jak biedni ludzie, często myślę sobie, chcąc uczcić tak wielką radość popełniają obżarstwo i niżej stawiają siebie od zwierząt, lecz to tak weszło w obyczaj, że choćbyś wlaź na najwyższą wieżę i stamtąd prawili i karcili ludzkość, byłby to zawsze głos wołający na puszczy. A zatem apostołstwo w tym względzie się nie uda, a idzie się pod rękę z obmierzłym

obyczajem i choćbyś był jak kamień twardy, a włazłszy między wrony będziesz krakał jak i one. Otóż z pierwszego dnia już byłem pod hełmem i tak z rzędu do ostatniego dnia wyjazdu, gdzie mię pożegnawszy najczulej dali mi krzyżyk na drogę.

Za miasteczkiem, obejrzawszy się nań jeszcze kilka razy i zostawiwszy w nim wszystkie swoje myśli lat straconych, spojrziałem w przyszłość niepewnym wzrokiem; jeszcze mi i teraz nie wierzyło się, że opuszczam ten kąm nudy. - Lecz wiorsta za wiorstą coraz się zmieniałem i przychodziłem do tego przekonania, że już nigdy nie powrócę do Kniaginina, wtenczas mi żal się zrobiło, bo człowiek czasem i w czterech ścianach zakochać się może. Lecz żal ten z porównaniem zmiany w moich okolicznościach był tylko przelotny.

Wreszcie przybyłem do Łyskowa sioła G. Grzezińskiego głównego magazynu zboża z kilku chleborodnych guberni. Tam przenocowawszy i zapewniwszy się, że trzeba czekać na parochod, który po raz pierwszy miał przybyć, poszedłem oglądać okolice; pyszny to widok i jedyny w tych miejscach podczas rozlewu Wołgi. Wszystkie płaszczyny zalane, miasto Makarijew, sławne niegdyś jarmarki, zalane po wieże. Cerkiew, zda się pływa w wodzie na kształt mirażu, za niem wierzchołki dachów wsi jakiejś, to znowu wierzch góry z sosnami, a poza niemi wciąż woda i woda; tu Wołga rozlewa się blisko do 20 wiorst. Napatrzwszy się tak wspaniałemu widokowi zeszedłem do przystani, gdzie dużo było pasażerów oczekujących parochodu, po niejakiś czasie ujrano go i jednogłośnie «parochod», ozwało się w powietrzu. Więc dalej do łódek rzuciła się publiczność spotykać statek. Była to konieczność, bo z racyi mielizny parostatek nie mógł się przybliżyć do przystani, więc trochę z obawa popłynąłem na małej łódce, kołysanej falą i po silnej pracy udało się wiosłarzowi dopłynąć prawie do koryta rzeki, po którym jeszcze zbitą masą kra płynęła. I tak wciąż płynąc obok lodów spotkaliśmy parostatek, lecz o rozpaczy, ten parostatek tylko przybywał z Kazania do spławiania zboża, więc nie przyjmował pasażerów. Przeziębnięci ja i moi współpodróżni, obryzgni wodą i nie bardzo bezpieczni na łódce, która co moment mogła zaczerpnąć wody, musieliśmy zawracać do brzegu lecz oddalonego o półtora wiorsty od Łyskowa, do innej przystani, skąd parostatki zabierają drzewo. Tam już za ogólną zgodą postanowiliśmy czekać ile wypadnie na parostatek, więc przybiwszy do brzegu i otrząsnawszy się z przemoczenia trzeba się było pokrzepić. Miałem przy sobie butelkę dobrego koniaku, więc zażywszy go sporą dozę, uczułem zbawienne ciepło po całym ciele się rozchodzące i porządnie zakąsiwszy wylazłem na barkę z drzewem w celu obserwacji. Po kilku godzinach nadaremne psucia oczu już straciłem zupełną nadzieję doczekania się parostatku i już zabierałem się do opuszczenia barki, gdy wtem inni, z równym interesem czekający zmiany położenia tak przykrego, ujrzeli dym na horyzoncie i znów obito się w powietrzu «parochod». Z kwadrans czekaliśmy

na niego nim się zrównał z przystanią i, co za radość, przyjmował pasażerów i po raz pierwszy miał ciągnąć do Niżnego. Wnet łódkami podплыneliśmy do niego i byliśmy na pokładzie (samolotu) obciążonego beczkami ikry i innymi towarami. I tak w imię Boga puściliśmy się na niebezpieczeństwa, które często spotykają parostatki podczas powodzi.

Podczas tak niebezpiecznej żeglugi zapatrywałem się na Wołgę majesiacyjnie rozlaną i nagromadzony lud na pokładzie. Co za dziwny kontrast! ... Ta garstka mała była mi jakby sumą całego narodu w pieśni i okowicie topiąca swoje myśli. Lecz szum parowika przerywał me wrażenia i więcej zwracał mą uwagę na podróż pomiędzy lodem i wierzchołkami lasów zalanych.

Po 5-ciu godzinnej żegludze ujrzelśmy Niżny. Wieczór był bardzo pogodny i słońce dziwnie oświecało miasto rozłożone na wyniosłych górach, u stóp ich z Wołgą po horyzont sięgającą i mającą minę morza.

Niżny Nowgorod gubernialne miasto; najgłośniejszy w nim jarmark na całą Rosyję, przypada corocznie w Auguście. Nosi nazwanie jarmarku Makarija, bo przed laty ten sam jarmark odbywał się w mieście Makarijewie, co naprzeciwko sioła Łyskowa (o którym powyżej wspominałem).

Niżny mi już był znajomy w 1862 r., jeździłem z Moskwy, w tym roku budował się Kościół Katolicki, do którego malowałem główny obraz M. B. Wniebowzięcia i pod tym tytułem, i dotychczas egzystuje wymieniony kościół. Właśnie byłem tam w czasie jarmarku, trudno opisać co za stek rozmaitych nacyi bywa wtenczas w Niżnym. Ulice są przepełnione różnobarwnym tłumem. Pamiętam, chcąc widzieć lepiej całość widoku, kupiłem astrachańskiego kawona (arbuza) za pięćtaka, w tej porze kawony są nadzwyczaj tanie i wielkie (ich) mnóstwo przywożą Wołgą na barkach. Otóż tedy z kawonem, jako środkiem orzeźwiająjącym od skwaru, zabrałem się na wierzch góry Kremlu, który przypomina strukturą Kreml Moskwy, stąd to najlepiej było oglądać całą przestrzeń jarmarku; tak zachwycony byłem tym widokiem, że niespostrzeżenie zjadłem całego arbuza.

Ale zboczyłem od swojej podróży, więc powracam, żeby ją dalej kontynuować. W Niżnym zabawiłem się dni parę póki mi wydano z Kancelaryi Gubernatorskiej bilet, według którego powinienem był prostą drogą jechać do Charkowa. A więc pożegnawszy się ze swoimi, których było dosyć w Niżnym, wyruszyłem na promie parowym do Bahnhofu. Wołga zalewa podczas wiosny dolne ulice miasta i całą prawie przestrzeń jarmarku tak, że prosto z ulicy trzeba wsiadać na prom, który po Ocie przepływa do Bahnhofu drogi żelaznej. Przybywszy do Bahnhofu zaraz urządziłem się z rzeczami, kupiłem bilet i jeszcze godzinę mogłem się przechadzać po przedmieściu. Nareszcie czas było jechać i po pierwszym świstku byłem w wagonie, który pociągnął ku Moskwie.

Po kilkugodzinnej jeździe postrzegłem cofanie się nazad pociągu, co mnie i wszystkich pasażerów mocno zdziwiło. Po zapytaniach objaśniono nam, że



wracamy do Niżnego, bo powódź relsy podmyła na wiorst pięćdziesiąt. Chciałem pokazać swój bilet, że muszę jechać prostą drogą a nie wsteczną, lecz później się zmiarkowałem. I tak pomimo chęci powróciłem znowu do Niżnego. Chciałem przepłynąć do miasta, ale noc i niepogoda zmusiły mnie pozostać w Banhofie, a więc kazałem podać spis do jadła by się pokrzepić, gdy wtem podchodzi do mnie jakis mundurowy urzędnik kolei żelaznej i wymienia moje nazwisko. Był to dobrze mi znajomy koleżka z Moskwy, zaledwiałem go przypomniał tak się odmienił; zaraz mnie zaprowadził do siebie i jak najgościnniej przyjął, tak że się doskonale z nim upiłem, nagadałem i wyspałem. Nazajutrz o godzinie 9-tej pociąg znowu ruszył, droga była poprawiona. Dziwne zniszczenia wyrządza powódź. Relsy rzeczywiście były podmyte prawie do połowy nasypu, woda z obu stron nasypu starała się gwałtownie zburzyć ludzką pracę, lecz dano na to radę i przeszło na 50-siąt wiorst musiano obłożyć nasyp kulami z rohoży nabitemi piaskiem, które dawały nieprzewycięzoną tamę rozhukanej wodzie. Nareszcie przybyliśmy do rzeki Kłazmy i dalej jechać nie było podobieństwa, bo most żelazny z granitowymi kolumnami runął do wody jak papierowy, więc komunikacja z przeciwnym brzegiem została na długi czas zerwana; wskutek czego urządzono przewożenie pasażerów i bagażu na łódkach.

Nieszczęśliwa to była perspektywa. Łódki małe lada moment mogły zaczerpnąć wodę, powtórę prąd rzeki był tak silny, że trzeba było wielkiego wysilenia żeby przepłynąć na brzeg przeciwny, ale cóż było robić, siedzieć na polu nie było wygodnie, zatem poleciwszy się Bogu i WWŚŚ wsiadłem do łódki.

Zbiór pasażerów był tak wielki, że blisko z piętnaście łódek od razu przepełnił i jeszcze część została na brzegu. Łódka, w której się znajdowałem, była tak przepełniona, że już zwątpiłem o szczęśliwej przeprawie. Skorośmy odbili od brzegu zaczął nas prąd wody tak silnie unosić, do tego fale rozhukane potężnym wiatrem kolysały tak silnie łódką, że wszyscy, szczególnie kobiety, zaczęli wrzeszczyć wniebogłoso. Wioślarze dobywali ostatka sił swoich i po ich minach czytałem zwątpienie; już prąd nas unosił na okruchy roztrzaskanego mostu. Przyszłość była okropna. Wpadłszy tam niktby nie ocalał, więc rzuciliśmy się pomagać wioślarzom i z pomocą Bożą przebyliśmy najsilniejszy pęd wody, a potem już lżej było kierować się do brzegu. Ochłonęliśmy wszyscy z tak okropnego zwątpienia, gdy stanęliśmy na brzegu. Wiatr wzmagał się coraz więcej, tak że zacząłem trząść się z zimna i zmoczenia, lecz na to miałem radę. Ulokowawszy się w miejscu zasłoniętem od wiatru, wypakowałem wódjole i machnąłem z pół butelki, poczem dobrze zakąsiwszy uczułem zbawienne ciepło i spokojniej już mogłem czekać do ukończenia przeprawy reszty do ukończenia przeprawy reszty pasażerów i bagażu. Wnet nadciągnął nowy pociąg od Włodzimierza i wszyscyśmy się zabrali do wagonów. Pociąg

ruszył, ja zaś nie mając ochoty podzielać rozmowy otaczającej mnie publiczności, zakutawszy się w futro, chrapnąłem najwyborniej i nie pamiętam jak przebyłem kilkaset wiorst. Rozbudzony zostałem ruchem i gwarem pasażerów wychodzących z wagonu i wtenczas dowiedziałem się, że już jestem w Włodzimierzu. Pociąg miał przestać kilka godzin w tym mieście, a że to było dosyć wcześnie więc z ciekawości nająłem dorożkę i kazałem obwieść mię po całym mieście. Zwoszczyk nie koniecznie był dobrym czyczerone bo prawil mi duby smalone o zamkach W. Piotra, o cerkwiach ale widać było, że nie zna dobrze ani chronologii, ani archeologii. Dosyć tego, że nic nie znalazłem zadziwiającego w tym mieście, tylko zwróciły moją uwagę przechadzające się kobiety i wszystkie bez wyjątku w baszlykach - widocznie jest to moda. Niektóre z nich mnie mój czyczerone zalecał, według sposobu kupców, zalecających towary. Mówilem mu, że jak będę nazad powracał to może nabiorę chętki na ten towar, czem mu zapchnąłem gębę.

Powróciwszy do Bahnhofu zjadłem kolację i przyszedł czas jechania, więc zabrawszy się do wagonu spałem bez przerwy, aż do Moskwy.



Wincenty Sleńdziński,  
*Bal*, 1862



Ze szkicownika Wincentego Sleńdzińskiego,  
*Autoportret, 1867*

## MOSKWA

O godzinie dziewiątej rano przyjechałem do Moskwy. Przyjęcie rzeczy zajęło dość czasu, a tu człowiek się śpieszył jak najprędzej zobaczyć miejsca tak dobrze znane, gdzie się zaczynało prawie świat rozpoznawać, gdzie tyle koleżeńskich chwil uleciało tak mile i tak bezpowrotnie, że aż w sercu się ścina, a na to dziś rady nie ma, pierś prawie już wyszła i oko łyż nie uroni. Wreszcie już jadę po ulicach coraz więcej znajomych, już widzę Kremlu mury i kołokolnie. Każę się wieźć do Czelyszowa numerów, naprzeciw teatralnego placu, stąd na wszystkie strony najlepiej robić ekskursye.

Zająwszy numer zaledwo pośpiałem wypić herbatę, wnet w ubraniu podróżnym wyruszyłem ku Szkole Malarskiej; ona mi nie dawała spokoju drogę całą, zatem postanowiłem ją najpierw odwiedzić. Lecz gdy już byłem blisko, gdy po latach czterech nic się prawie nie zmieniło na całej przestrzeni drogi, zdaje się każdy kamień spoglądał jak dawno znajomy i chciał się szczerze przywitać, dziwne niewytłomaczone ogarnęło mnie uczucie. Śmiałem się i łyż cisnęły się do oczu, czułem jakąś febrę, to znów goraczkę i nie wiem jakby to długo trwało, gdybym się nie spotkał z kilku uczniami wychodzącymi przez wrota zakładu, których pobieżnie spytałem o wejściu, o profesorów itp. Tym sposobem trochę ochłonałem z pierwszego popędu i wpadłszy do dyżurnej zaraz zostałem poznany, i gradem posypały się pozdrowienia. Dużo miałem znajomych, w szkole ich prawie już nie było, z pozostałych to tylko byli uczniowie klas niższych, których zaledwie mogłem rozpoznać. Po obejrzeniu szkoły i widzeniu się z profesorami, musiałem iść szukać kwatery mego starego koleżki Henryka, który jako żywo znajdował się w szkole, ostatni Litwin (dziś już rzucił zupełnie zawód malarski i jest jakimś czynownikiem w budowniczey Komisji). Biedak bił się z paletą i rady dać nie mógł. Znalazłem go nad seksternami estetyki, przygotowywał się do egzaminu. Rzuciliśmy się w objęcia tak zajadle, że kości u każdego z nas chrząsnęły. To ty! a niechże Cię! itp. - wykrzykniki, które wyrrywają się zwykle przy uścisku prawdziwie koleżeńskim. Ochłonawszy trochę z pierwszego wrażenia zaczęliśmy rozmowę o wszystkim, co tylko każdego z nas obchodziło. Spisać to wielką byłoby pracą i nie dla wszystkich zrozumiałą, bo trzeba wiedzieć, kiedy się zejdzie dwóch druhów, prawdziwie bratnie dzielących uczucie i po kilku leciech niewidzenia się ma możność wylać się jeden przed drugim, to wtenczas trudne jest pochwyccie nie na papier tych zaledwie poczętych pytań i niedokończonych odpowiedzi lecz tak pojętych, że dość ruchu oczów, aby były zrozumiane. Niestety i tego przebiera się miarka, opanowyywa jakieś rozczarowanie przesyte tak, że człowiek czuje się wielce zmęczonym i w piersiach ściśnięto jak żelazną kłamrą. Ciężkie to jest położenie. Wyjść z tego stanu najpraktyczniejszą jest rzeczą czarka. Po niej zapomina się drżenia strun trącanych ręką konwulsyjną, ich jęku straszliwego, wtenczas zdają się one oddalać znowu w przestrzeń

głęboką skąd były wezwane. Biedny to środek, ale czasem gojacy.

Na drugi dzień pobytu w Moskwie postanowiłem zwiedzić wystawę etnograficzną, która w tym czasie była odkryta na przyjazd słowiańskich gości. Wszedłszy do Maneżu (czasowego lokalu wystawy) zrazu mnie uderzył widok ogromu grup woskowych wszystkich narodowości słowiańskich i plecion sąsiednich, systemtycznie zebranych z odpowiednią roślinnością, klimatem itp. Wiele by trzeba było czasu stracić na opisanie tego zbioru; ciekawych odsyłam do Ukazatiela drukowanego na ten cel, tam można najdokładniej przekonać się o tak wielkim zbiorze.

W Moskwie zaledwie mogłem zabawić dni ze cztery, w których tak dużo musiałem biegać, że mi ten czas wydał się dniem prawie. Na koniec po opatrzeniu tego wszystkiego, co mnie interesowało i po zrobieniu pokupek dotyczących się malarstwa poszedłem do Henrysia, aby się z nim pożegnać, może znowu na czas długi, a może i na zawsze. Nie znalazłem go w domu, więc żeby przypomnieć nasze dawniejsze schadzki, przygotowałem gorzałkę i kiełbasę z brykałem. Niedługo czekałem, nadszedł zmęczony, cały dzień musiał kuć estetykę, dla Mokruni (profesora). Zły był okropie, piorunował swoim zwyczajem, ale spostrzegłszy zastawioną stypę, uśmiechnął się i szczerze mnie uściskał. Otóż za czarką spędziliśmy ostatni wieczór, znowu były wspomnienia, marzenia i w ostatku sen, aż do piątej rano. O tej godzinie już byłem w drodze do Bahnhofu kolei żelaznej, która mnie miała wieść do Sierpuchowa, tylko tak mało jeszcze było ukończonej kolei kijowskiej. W Sierpuchowie siadłem na dylizans i po 5 nudnych dniach jazdy przybyłem do Charkowa 6 maja 1867 r.

W 1867 r. Akademia Sztuk Pięknych w Petersburgu przyznała Wincentemu Słędzińskiemu tytuł malarza trzeciego stopnia..

Z materiałów archiwalnych opracował E. Szulborski



Ze szkicownika Wincentego Sleńdzińskiego



Ze szkicownika Wincentego Śleńdzińskiego





Ze szkicownika Wincentego Sleńdzińskiego



Ze szkicownika Wincentego Sleńdzińskiego,

## SNY WINCENTEGO SLEŃDZIŃSKIEGO

Śniło mi się z 18 na 19 septembra 1868 r. w Charkowie, jakobym z wielkim pędem biegł na wschody i z dziwnymi lekkimi podskokami wpadłem do pokoju mojego znajomego Dra L. Widząc go przy biurku zajmującego (się) pisaniem, rzucam się gwałtownie, aby go uściskać. Cóż było za moje zdziwienie, gdy w miejscu Dra L. trzymałem w objęciach kominiarza, który w miejscu biurka wyczyszczał komin skąd massa sadz mnie osypała i zapaliłem rękaw od swojej koszuli, i czułem palenie po ciele w kilku miejscach. Kominiarz to widząc zaczął mi pomagać w zagaszeniu ognia. Gdy się to skończyło, obejrzałem się iż wiele osób było w pokoju, między niemi i moja Matka. P. B. (?) stroił skrzypce, jakby miał zaraz grać, lecz w przedpokoju zjawiają się muzycy i jeden z nich prosi o skrzypce „14”, i zaraz zaczyna grać jakiegoś marsza pogrzebowego. Bas zaczyna mu wtórować. Na koniec muzyka się zmienia na czysty głosowy śpiew i brzmi hymn cerkiewny „Boże spasi ego duszu” i raptem jak najdobitniej trzy razy oni wrzasnęli : kaput, kaput, kaput! Za ostatnim razem zerwałem się ze snu. Kiedy jeszcze mi w uszach ostatni kaput brzmiał.

Śniło mi się 27 września 1868 r. iż byłem w jakimś chaosie przedmiotów przemawiających rozmaitemi językami. Treść tych przemówień była złożona ze zdań filozoficznych i teologicznych, ja to wszystko rozumiałem i gorącą rozprawę wiodłem.

Z kamienia powtarzającego tylko jakieś dziwnie zimne zdanie wyszła postać wilka czarnego z białymi plamami, który pomiędzy inne przedmioty zaczął się przemykać dość hyżo. Ja za nim puściłem się w pogoń i ułowiwszy go za kudły zaciągnąłem w kąt swojego mieszkania. Po niejakiś czasie niosłem mu strawę i gdy otworzyłem luft, wymknął się pomiędzy memi nogami, i hyżo zbiegł po schodach. Ja zacząłem w ślad za nim wołać, aby go przytrzymało, lecz nikogo nie było i wilk wybiegł na ulicę. Ubiegłszy znaczną część miasta, mnie nie znanego, znowu go dościgłem i tak go silnie obaliłem na ziemię, że zupełnie się rozplaszczyl. W swej postaci zmienił się na jakąś dziewczynę wołającą rozpaczliwym głosem do otaczającego tłumu, że była prawosławna, a teraz jest żydówką. Ja zaś przelękniony tą metamorfozą i krzykiem obudziłem się. W chwil kilka byłem na polu i dążyłem do jakiejś wsi nieznaney. Przechodząc ulice przełaziłem przez płoty, wszędzie napastowany byłem zgrają psów rozmaitej wielkości, których odpędzałem laską i mnie żaden z nich nie ukąsił. Takim porządkiem dobiełem się do jakiegoś budynku wysokiego na kształt uniwersytetu i w mieście stojącego, do którego weszłem i ujrzałem się w ogromne j sali, na ścianach której była galeria obrazów, jakby w Ermitażu, wzdłuż sali przechadzały się trzy figury już sędziwych mężów poubieranych w ciepłe płaszczy i kapelusze. Jednego z nich poznałem. Był to P.G., z którym

(się) z daleka przywitałem i dalej rozpatrywałem galerię obrazów. Tak postępując coraz dalej, doszedłem do drugiej, także rozległej sali, przed drzwiami której na postumencie, leżały trzy jaja lśniące się mieszaniną matalów, przykryte szklanym kloszem. Gdy zacząłem je rozpatrywać, usłyszałem silne bębnienie z przeciwległej sali i kiedy tam wszedłem była zastawiona ławkami ustawionymi w półkole. Do tych ławek zaczęła naciskać publiczność obojej płci. Ja zaś myśląc, że to będzie jakaś publiczna lekcja usiadłem na oknie, na którym była wielka liczba ksiąg. Obok mnie znalazł się P.G.(?) z nim zacząłem się serdecznie witać. Obaj ze wzruszenia dostaliśmy jakiegoś spontanicznego dreszczu. Wtem jakaś otyła kobieta podchodzi do mnie i prosi mnie abym jej ustąpił miejsca. Ja wymawiam się od tego, wskazuję na miejsce gdzie były ułożone książki lecz na nich ujrzałem troje siedzących dzieci, dziwnie pięknych, które się także wzbraniały dać jej miejsce. Owa kobieta dostaje spazmów i raptem z wielki impetem, jakby z odszpuntowanej beczki, zaczęło potokiem lać się z niej mleko. Ja przerażony takim zjawiskiem schowałem się za frankę ciężkiej materyi i zasłoniłem się ażeby bryzgi lecące na wszystkie strony od pieniącego się mleka mnie nie obryzgały. Obudziłem się.

28 września zaś sniło mi się, iż ze mnie przy krztuszeniu wypadła z gęby nadzwyczajnie straszliwa i plugawa istota w kształcie krokodyla. Cała związała się na rozmaite strony. Potem ją zarzuciłem trzaskami. Szczególniejszą pomiędzy trzaskami była szeroka wióra scheblowana, niby z trumny. Zupełnie takiej szerokości i zachowywała taką samą formę. H.K. (?) mnie zaczęła objaśniać, że to były wióry z trumny robionej dla biednej kobiety. Obudziłem się.

Śnił mi się 30 września 1868 r charkowski kościół, palił się od tyłu jakiś magazyn - wszyscy byli w wielkim przerażeniu, ja byłem nibyznaczony do trzymania porządku w jakimś archiwum, gdzie były rozmaitego rodzaju rupiecie, które składałem, między niemi obrazy. Na koniec miało się zagasić palenie i ksiądz ze mszą wyszedł. Obudziłem się. Po niejakiem czasie sam kościół zaczął się palić. Ja znowu biegłem przez dziedziniec kościelny i zastanowiłem się koło dwóch studzien, jedna z nich była co tylko pomalowana olejną farbą lecz woda była jakaś mętna, tak że jej nie piłem a poszedłem do archiwum, od którego były u mnie klucze, lecz znajduję drzwi otworem i zupełnie pusty pokój. Wszystko było wyniesione i jeszcze ostatki podbierali ludzie ratujący od pożaru. Na chorach odbywały się jakieś śpiewy, lecz zaczęto krzyżeć, żeby jak najprędzej schodzili, bo już zajmują się ogniem schody. Niektóre kobiety zamiast przez schody zaczęły się spuszczać po rusztowaniu i skakały z jednej balki na drugą, i siadały na koniec pacierzowej kości z wielkim impetem. Ja się od śmiechu rozbudziłem.

Z materiałów archiwalnych opracował Eugeniusz Szulborski.



Ze szkicownika Wincentego Śleńdzińskiego,  
*Ja imiennik, autoportret, 4 lutego 1867*

# ДНЕВНИКЪ ЗАКОНОВЪ.

---

## DZIENNIK PRAW.

Tom 63.

---

WARSZAWA.

PRZEDRUKOWANO W DRUKARNI S. OEGELBRANDA.

---

1867

31

*Postanowienie Naměstnika w Królestwie  
o zniesieniu klasztorów Grecko-Unickich.*

W Imieniu Najjaśniejszego

A L E X A N D R A II-go,

CESARZA i SAMOWŁADCY WSZECH ROSSYI, KRÓLA POLSKIEGO,

etc., etc., etc.

*Namiestnik Królestwa.*

Zważywszy, że istniejące w Królestwie Polskiem pięć męzkich klasztorów Grecko - Unickich zakonu Św. Bazylego Wielkiego: w Warszawie, Lublinie, Chełmie Białe i Zamościu, tak z powodu małej w nich liczby osób stanu zakonnego, jako też wewnętrznym ich zarządem nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, — znajdując przeto koniecznem ściągnąć osoby, należące do tegoż zakonu, do jednego z wymienionych klasztorów, który przedstawi należyte do tego dogodności i dać trwałą podstawę do urządzenia tegoż klasztoru, — zarazem mając na uwadze NAJWYŻSZĄ WOLĘ NAJJAŚNIEJSZEGO PANA co do jak najlepszego zabezpieczenia losu duchowieństwa parafjalnego Grecko - Unickiego i co do jak najprędszego wznowienia podupadłych kościołów Grecko - Unickich, na zasadzie NAJWYŻEJ darowanej mi władzy, postanawiam co następuje:

Art. 1. Dla usunięcia niedogodności. następczących się z powodu małej liczby osób stanu zakonnego w każdym z pięciu klasztorów Bazyljańskich Grecko - Unickich, istniejących na teraz w Królestwie Polskiem, a mianowicie: w Chełmie, Białe, Lublinie, Zamościu i Warszawie, — pierwsze cztery klasztory ulegają zniesieniu, znajdujący się zaś w nich zakonnicy ściągają się do klasztoru Grecko - Unickiego w Warszawie, według zasad niżej wskazanych.

Art. 2. Klasztor Warszawski zupełnie oddaje się pod władzę Zwierzchności Dyecezyjalnej Chełmskiej, która to zwierzchność przez osobnego wizytatora ma dozór co do zachowania w nim

karności i należytego porządku stosownie do reguł kościelnych. Zatem wszelka zależność tego klasztoru tak od prowincjałów zakonu, jako też od innych wyższych władz zakonnych uchyla się i wszelkie stosunki z-niemi wzbraniają się, jak niemniej znoszą się i kapituły klasztorne.

Art. 3. Kościoły należące do zniesionych klasztorów, w Lublinie, Biale i Zamościu, oraz kościoły parafjalne we wsiach Spas i Kołemczycy, które dotąd były jako filjalne klasztoru Grecko-Unickiego Chełmskiego, zostają parafjalnemi i przytem będą w bezpośrednim zawiadywaniu Zwierzchności dyecezyjalnej Chełmskiej. Kościół po zniesionym klasztorze w Chełmie zostaje Chełmskim Katedralnym kościołem.

Art. 4. Na wszystkie władze, w szczególności zaś na władzę dyecezyjalną Chełmską, wkłada się obowiązek przedsięwzięcia wszystkich zależących od nich środków, ażeby przy zniesieniu wyż wspomnianych czterech klasztorów, nabożeństwo w kościołach znajdujących się przy nich nie ustawało. W tym celu do dalszego w tej mierze rozporządzenia Zwierzchności dyecezyjalnej Chełmskiej przy każdym z kościołów, należących do czterech znoszonych na teraz klasztorów, zostawia się jeden zakonnik z prawami wikariusza, a przy kościele znoszonego klasztoru w Biale zostawia się dwóch zakonników.

Art. 5. Zobowiązania połączone z funduszami klasztorów zniesionych, zachowują się przy kościołach tychże klasztorów i mają być dopełniane przez pozostawionych lub mających być przeznaczonymi księży. Jeżeli zaś takowe zobowiązania funduszowe z powodu ich różnorodności nie mogą być wypełniane przez rzeczony osoby duchowne, w takim razie zobowiązania te przenoszą się wraz z zakonnikami do klasztoru Bazylijańskiego w Warszawie, w którym utrzymanie tychże zakonników zabezpiecza się przez Skarb na tychże samych funduszach. Rozporządzenia w tym względzie pozostawiają się bliższemu uznaniu Zwierzchności Dyecezyjalnej Chełmskiej.

Art. 6. Umieszczona w gmachu klasztoru Chełmskiego szkoła śpiewaków, pozostaje nadal w tymże samym gmachu. Jeżeliby zaś z czasem okazała się potrzeba obrócić ten gmach na inny użytek, w takim razie szkoła otrzyma na koszt Rządu inne odpowiednie pomieszczenie.

Art. 7. Osobom należącym do składu czterech znoszonych klasztorów Grecko-Unickich w Lublinie, Chełmie Biale i Zamościu, pozostawia się albo prowadzić i nadal życie zakonne wedle reguły swego zakonu w klasztorze Bazylijańskim Warszawskim,



lub udać się za granicę dla pozostania się w jednym z zagranicznych klasztorów Grecko-Unickich, z otrzymaniem wsparcia na wydatki podróży i corocznej pensji.

Art. 8. Tym z wymienionych w artykule 7 osób, którzy zechcą wyjechać na zawsze za granicę, przeznaczają się dożywotnie coroczna pensja po sto pięćdziesiąt rubli srebrem na każdą osobę, rachując od dnia oświadczenia przez nie życzenia wyjechania za granicę, z zaregulowaniem tego wydatku do ogólnych funduszków Skarbu Królestwa. Pensja takowa będzie im wypłacaną co pół roku za pośrednictwem Cesarsko-Rossyjskich Missji zagranicznych dopóty, dopóki osoby otrzymujące taką pensję, nie będą brały żadnego udziału w nieprzyjaznych Rządowi Rossyjskiemu zamiarach.

Art. 9. Koszta podróży do granicy Królestwa zakonników, którzy oświadczyli życzenie udania się do obcych krajów na stałe zamieszkanie, przyjmują się na rachunek Skarbu. Oprócz tego każdemu z tych zakonników wydaje się bezpłatny paszport do wyjazdu, a na granicy oni otrzymują jednorazowe wsparcie na dalszą podróż w kwocie dwudziestu pięciu rubli srebrem, także na rachunek Skarbu.

Art. 10. Osobnej Kommissyi, ustanowionej pod przewodnictwem Dyrektora Głównego Spraw Wewnętrznych i Duchownych, poleca się ułożyć i przedstawić w jak najprędszym czasie przez Komitet Urządzący w Królestwie do Najwyższego zatwierdzenia wyliczenie etatowe funduszków potrzebnych na utrzymanie klasztoru Grecko-Unickiego w Warszawie, oraz projekta innych co do tego klasztoru przepisów i instrukcyj.

Art. 11. Ażeby zwrócić duchowieństwo zakonne Grecko-Unickie do właściwych mu zajęć, odpowiednich stanowi zakonnemu, wszystkie należące tak do zniesionych obecnie czterech klasztorów, jako też i do klasztoru Warszawskiego majątki nieruchomości i kapitały w jakimkolwiek bądź miejscu zamieszczone, przechodzą w za-wiadywanie Skarbu i oddają się do rozporządzenia Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu.

Art. 12. Szczególne rozpoznanie i oznaczenie na jakie mianowicie cele dobroczynne lub społeczne mają być przeznaczone pozostające po zniesionych klasztorach gmachy, poleca się osobnej Kommissyi z powołaniem do niej osobnych członków od Kommissyi Przychodów i Skarbu i od innych właściwych władz. Postanowienia tej Kommissyi po zatwierdzeniu przez Komitet Urządzący w Królestwie, bezzwłocznie wprowadzają się w wykonanie.

Art. 13. Dochody z majątków nieruchomości po klasztorach

Grecko-Unickich, po potrąceniu nie więcej jak 10%, z takowych dochodów na niezbędne wydatki na administrację tych majątków, oraz funduszu potrzebnego na utrzymanie etatowe klasztoru Bazylijańskiego w Warszawie, obrócone być mają w zupełności na polepszenie bytu parafjalnego duchowieństwa Grecko-Unickiego, a kapitały po tychże klasztorach mają być użyte na niezwłoczne odbudowanie podupadłych kościołów Grecko-Unickich.

Art. 14. Na Kommissyę umorzenia długu krajowego wkłada się obowiązek czuwania nad tem, ażeby wyżej wymienione w art. 13, dochody i kapitały nie były obracane na żadne inne przedmioty oprócz tych, które określone są niniejszem postanowieniem, oraz corocznego przedstawiania w tym przedmiocie sprawozdania Radzie Administracyjnej ze szczegółowym oznaczeniem w temże rzeczywiście zrobionych wydatków. W sprawach tego rodzaju do składu Kommissyi umorzenia długu krajowego przyłącza się kilku członków z duchowieństwa Grecko-Unickiego, na zasadzie oddzielnego postanowienia, jakie w tej mierze wydane będzie.

Art. 15. Postanowienie niniejsze bezzwłocznie zamieszczone być ma w Dzienniku Praw. Bezzwłoczne wykonanie Postanowienia niniejszego poleca się wszystkim władzom właściwym.

*Zgodno z oryginałem:*

P. o. Sekretarza Stanu (podpisano) *A. Zaborowski.*

*Zu zgodność:*

Dyrektor Główny Prezydujący  
w Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości *Wosinski.*

P. o. Dyrektora Kancellaryi *Wł. Holewiński.*

Dzień ogłoszenia 8 (20) Stycznia 1865 roku.

W Imieniu Najjaśniejszego  
A L E X A N D R A II-go,  
CESARZA WSZECH ROSSYI, KRÓLA POLSKIEGO,  
etc., etc., etc.

*Namiestnik Królestwa.*

Zważywszy, że tak nazwane Stowarzyszenie Felicyanek, czyli Siostr Ś-go Feliksa, przez Rząd nigdy nie było zatwierdzonem, i że w terminie przez Rząd mu oznaczonym dnia 9 (21) Lipca 1859 r. nie przedstawiło swej Ustawy do zatwierdzenia Władzy Wyższej; że wbrew art. 56 NAJWYŻSZEGO Ukazu z d. 18 Lutego (2 Marca 1842 r., i NAJWYŻSZEJ Woli z dnia 28 Sierpnia 1851 r., do-tychczas nie wykazało stałych środków, koniecznych do zabezpieczenia swego utrzymania, że zatem wbrew wyraźnemu brzmieniu NAJWYŻSZYCH Rozkazów z d. 15 (27) Maja 1841 r., 3 (15) Lutego i 8 (20) Listopada 1858 r., nielegalnie istnieje, nie będąc przytem obcem nawet udziału w intrygach politycznych, na zasadzie NAJ- WYŻEJ nadanej mi władzy, postanawiam co następuje:

Art. 1. Istniejące bez zatwierdzenia prawnego Stowarzyszenie Felicyanek czyli Siostr Ś-go Feliksa, bezzwłocznie znosi się.

Art. 2. Porządek jaki ma być przy tem przez Władze właściwe zachowany, określa się oddzielną Instrukcją.

Art. 3. Wykonanie niniejszego postanowienia, które ma być bezzwłocznie zamieszczone w Dzienniku Praw, poleca się Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, oraz Jenerał-Polic- majstrowi w Królestwie.

*Zgodno z oryginałem:*

P. o. Sekretarza Stanu (podpisano) *A. Zaborowski.*

*Za zgodność:*

Dyrektor Główny Prezydujący  
w Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości, *Wosiński.*

P. o. Dyrektora Kancellaryi, *Wl. Cholewiński.*

Dzień ogłoszenia 8 (20) Stycznia 1865 r.



Ze szkicownika Wincentego Śleńdzińskiego,  
*Charaktery*, 1865

## Spis treści

1. Drodzy czytelnicy .....	4
2. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego .....	5
3. Wincenty Sleńdziński, - W chwili zwątpienia .....	6
- Po bezdennej morza toni .....	7
- O ułudzeń wieczna żądzo .....	7
- Gdy myślą sięgam lat minionych .....	8
- Często pierś się nadyma .....	9
4. Wincenty Sleńdziński, Pielgrzym 1854 .....	10
5. Przepisy rodzinne przydatne malarzom zanotowane ręką Wincentego Sleńdzińskiego w opracowaniu Eugeniusza Szulborskiego	
- Inny sposób przenoszenia kopierszychu .....	11
- Lakier chiński na drzewo .....	11
- Lakier najłacniejszy do zrobienia .....	12
- Kit do porcelany i szkła .....	12
- Sposób lakierowania na drzewie .....	12
- Złoto malarskie w proszku .....	13
- Sposób przeniesienia ryciny na drzewo .....	13
- Lekarstwo dla bydła .....	13
6. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego .....	14
7. Wincenty Sleńdziński Jazda .....	15
8. W. Sleńdziński Bal 1862 .....	20
9. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego Autoportret 1867 .....	21
10. W. Sleńdzińskiego Moskwa .....	22
11. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego .....	24
12. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego .....	25
13. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego .....	26
14. Sny Wincentego Sleńdzińskiego .....	27
15. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego .....	30
16. Z „Dziennika Praw”, t. 63 Warszawa, drukarnia S. Orgelbranda 1867 r. Dziennik nr 194	
- Postanowienie Namiestnika w Królestwie o zniesieniu klasztorów grecko- unickich .....	32
- W imieniu Najjaśniejszego Aleksandra II .....	36
17. Ze szkicownika W. Sleńdzińskiego .....	37

Na okładce:

Wincenty Sleńdziński, *Autoportret*, 1854

**Biuletyn Galerii im. Sleńdzińskich**

Redaguje zespół: Katarzyna Hryszko, Izabela Suchocka, Eugeniusz Szulborski (red. nacz.).

Skład komputerowy Janusz, Bogdan Sadowski.

Adres redakcji :

15-461 Białystok, ul. Waryńskiego 24a ,tel. 517-670